Nr. 19. We Lwowie dnia 8. Maja 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Szymon Askenazy.

Studja historyczno-krytyczne.

Dziewięć studjów, które przed rokiem 1893-im ukazały się w trzech miesięcznikach polskich, autor zebrał, poprawił i wydał w jednym tomie, ułatwiając tym sposobem czytelnikowi rozejrzenie się w swych początkowych pracach naukowych. Na samym wstępie spotykamy się z Mablym, który, tak samo, jak Jan Jakób Rousseau, pisał projekty odrodzenia Rzeczypospolitej polskiej, ale miał tę przewagę nad swym towarzyszem, że zwiedził kraj, któremu reformę prawodawczą miał obmyślić, a więc nie pozostał na stanowisku wyłącznie doktrynerskiem, zdołał przyjrzeć się zblizka schorzałemu organizmowi państwa polskiego.

Autor skreślił nam wykończony portret Mably'ego, o ile się tenże w pracach naukowych uwydatnił. Szczególniejszy nacisk został położony na myśli i projekty, dotyczące Polski. Jego wycieczka do naszego kraju była jednem z przykrzejszych rozczarowań w życiu i ostatecznie utwierdziła w nim ów sceptycyzm zgryźliwy, z jakim się aż do śmierci już nie rozstawał. Drogi w Polsce dają mu przedsmak Tatarji, a jeszcze przykrzejszą niespodziankę, niż trakty, sprawiają podróżnikowi ludzie, z którymi zawiera znajomość, a przedewszystkiem — sami konfederaci barscy, tak niepodobni do swych pięknych portretów paryskich.

Rady dla Polski Mably'ego nie o wiele były pożyteczniejsze i praktyczniejsze od rad J. J. Rousseau. Można się było z niemi zgadzać, gdy utrzymywały, „że Polska jest zbyt chorą, aby wyzdrowienie nie miało być powolnem“, lub gdy piętnowały *liberum veto*, jako urządzenie bezwględnie szkodliwe; ale, gdy Mably przyszedł do przekonania, iż władzę króla w Polsce należy ograniczyć na sposób króla szwedzkiego lub weneckiego doży, aby był jedynie „wypełnieniem próżnego miejsca“, wtedy staje się widocznem, że zapoznanie się z błotnistemi lub piaszczystemi gościńcami nie daje dostatecznych gwarancji gruntownego zbadania państwowego organizmu. Gwarancji powyższych nie stwarzają nawet tak zwane „obiady polityczne“, zjadane w towarzystwie partykularnych mężów stanu i zapieckowych wielkości.

Autor zatrzymał się dłużej nad pracą Mably'ego „O prawodawstwie“, czyli zasadach praw, z której wywiązał się w sposób względnie konsekwentny i systematyczny. Niektóre poglądy Mably'ego, znajdujące się w owem studjum, i dziś zdobyć mogą uznanie uczonego świata. Siłę przekonywającą ma po chwilę obecną jego twierdzenie, że państwo idealne możnaby założyć w czasach mu współczesnych chyba na brzegach Ohio lub Missisipi, a Platon ze swoją republiką mógłby mieć powodzenie w lasach Afryki, dokąd nie zabłąkały się jeszcze nasze żądze i namiętności. Ignacy Potocki, w imieniu Komisji Edukacyjnej, zwrócił się do Mably'ego z prośbą o napisanie podręcznika logiki dla szkół wojewódzkich. Mably odmówił, polecając Condillac'a, a pomimo sławy i wpływu, jakich przez czas pewien używał, imię jego jeszcze przed śmiercią utonęło w zapomnieniu.

Drugie miejsce wśród studjów p. Askenazego zajmuje polityka encyklopedystów. Z szeregu pisarzów, obdarzonych nazwą encyklopedystów, autor słusznie wyłącza Monteskjusza i Woltera, oraz ekonomistów, jak np. Turgot'a. Pozostały mu więc do zbadania i ocenienia dzieła: Rousseau, Diderot'a, Helwecjusza, Holbacha i Condorceta. Zdaniem autora, polityczne systematy encyklopedystów zbudowane są na dwóch czynnikach współdziałających: na nienawiści ku istniejącemu porządkowi rzeczy,

oraz dedukcji z jakiejkolwiek zasady ogólnej, przez zastosowanie do zagadnień społecznych klasycznej metody matematycznej. Następnie przedstawia autor poszczególnie teorje polityczne każdego z encyklopedystów, zaznaczając pewną i umiejętną ręką wszelkie odcienie i różnice, jakie się między nimi uwydatniły. Wystudjowanie dzieł pisarzów, tworzących obóz encyklopedystów, jest sumienne i gruntowne, a charakterystyka i ocena teorji politycznych encyklopedystów są wzorowe. Drugie studjum p. Askenazego posiada trwałą wartość naukową, ono też zapowiadało w swoim czasie bardzo pożytecznego pracownika na historyczno-politycznej niwie.

Następne dwie prace p. t. „Z korespondencji pruskiej“ i „Z korespondencji rodzinnej“ wywołane zostały wydawnictwami korespondencji dyplomatycznej posłów pruskich u dworu rosyjskiego w Petersburgu, oraz listami księżnej Izabeli Czartoryjskiej do starszego syna, księcia Adama. W obu studjach znajdujemy niejedno trafne spostrzeżenie, rzucające pełniejsze światło na postać króla pruskiego Fryderyka II-go, na Stanisława Augusta w dobie, kiedy był dopiero kandydatem do korony, i wreszcie na oryginalną i pełną psychicznych przeciwieństw oraz komplikacji księżnę Izabellę.

W dalszym ciągu autor poświęca uwagę „Paryżowi przed stu laty“, zaznaczając, że tylko dwa miasta zajmują w dziejach stanowisko zupełnie wyjątkowe: Rzym i Paryż. Każda z obu stolic stworzyła dopiero państwo ją otaczające. Jak niegdyś Rzym ukuł jednolitą rzeczpospolitę z mozaiki plemion łacińskich, zaludniających półwysep, tak znowu Paryż był owym potężnym odczynem, i z mieszaniny bezkształtnej elementów galskich, germańskich i rzymskich wydobył nowy francuski. W studjum swem, Paryżowi z przeszłego wieku poświęconem, dał nam autor obraz bardzo ciekawy i pouczający. Pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelnika na jeden charakterystyczny szczegół: oto w środku miasta, na placu Grève, wieszano i łamano kołem przestępców, gęste tłumy otaczały miejsce tracenia, okna z widokiem na szafot odnajmywano po 3 franki „od przedstawienia“, a katowi, po zręcznie dokonanej egzekucji hurmem przyklaskiwali widzowie. Tym sposobem, jak słusznie autor zauważył, hodowano w tłumach zarodki instyktów krwiożerczych, i z góry już daje się przewidzieć obojętność dla straszliwych rzezi, jakie niebawem na tem samem miejscu odbywać się będą.

(D. n.).

„Kurjer Warszawski“ *A. Rembowski.*

Germanizacja w zaborze pruskim.

(Ciąg dalszy).

Przeważający wzrost ludności polskiej nad niemiecką uwidacznia się z następującej tablicy, („Grentzbote“ luty 1897) ruchu ludności w Poznaniu.

Rok	Liczba lud. w Poznaniu	ewangelicy: Urodz.	śmierć.	przewyżka	na 1000 urodzeń	katolicy: urodz.	śmierć.	przewyżka	na 1000 urodzeń
1867	23498 ew. 37960 kat.	666	623	43	28.3	1485	1336	149	38.4
87—8	„	631	558	73	26.8	1542	1230	312	40.5
88—9	„	655	483	172	27.87	1614	1154	460	42.47
89—90	„	636	619	17	27.0	1610	1394	216	42.3
90—91	„	598	529	69	25.44	1509	1239	270	39.75
91—92	23102 ew. 40188 kat.	585	513	72	25.33	1529	1177	352	38.0
92—93	„	619	545	74	26.8	1450	1225	225	36.0
93—94	„	543	494	49	23.5	1559	1332	227	38.79
94—95	„	550	455	95	23.8	1577	1050	527	39.24
95—96	23745 ew. 43595 kat.	610	535	66	25.3	1565	1353	212	35.9
96—97	„	571	489	82	24.0	1673	1310	363	38.37
				812				3313	

Na obszarze W. ks. Poznańskiego było żydów:

W r.	Ogółem	przyjąwszy cyfry w r. 1772 za 100	stanow. % z lud.
1772	około 35000	100	7·2
1804	45000	129	6·0
1816	51000	146	6·3
1825	65000	186	6·3
1831	69681	199	6·5
1837	74196	212	6·3
1846	81249	232	5·9
1849	76757	219	5·7
1858	72075	206	5·2
1864	70008	200	4·6
1867	65508	187	4·3
1871	61982	177	3·9
1875	62438	178	3·9
1880	56609	162	3·3
1885	50866	145	3·0
1890	44346	127	2·5

(Komornicki l. c. 256 str.)

„Do największej bezwzględnej cyfry doszli żydzi 1846 r. Odtąd cyfra ich ogólna i procent stale spadają, aż wreszcie przy ostatnim spisie (1890 r.) wykazali żydzi już tylko 44.346 (2·5%) czyli że się cofnęli do pierwotnego stanu, jaki posiadali z początkiem tego stulecia; stracili zatem w Księstwie w tym czasie swój przyrost naturalny, dziewięćdziesięcioletni, dochodzący do 80000“.

(Komornicki l. c. 254 i 255).

Żydzi, jak wiadomo, stanowili i stanowią ludność par excellence miejską.

W. r. 1837 z ogółu żydów Księstwa przypadało na ludność miejską 90·36%
W. r. 1867 . . . . 93·35%
W. r. 1880 . . . . 93·55%

Ubytek ludności żydowskiej jest korzystny dla rozwoju polskiego mieszczaństwa, które zabiera opróżnione miejsce przez żydów. Ubytek ludności żydowskiej jest korzystnym dla nas pod względem narodowym, gdyż żydzi do ostatnich czasów w polskich prowincjach Prus uważali się za Niemców. W ostatnich czasach jednak żydzi w Księstwie zaczynają się polonizować (patrz „Gegenwart". 1898 r. Nr. 1. Dr. Benno Hilse. „Die Aufgaben des Staates in der Ostmark) i Lubliner staje się Lubczyńskim, Henschel—Henczylskim, Pinkus—Pinkowskim)...

Fakt to bardzo znamienny. Żydzi, jako naród kupiecki, stanowią najczulszy siłomierz narodowościowy: pomimo germanizacji, pomimo prześladowania polskości, pomimo zależności politycznej od rządu pruskiego zaczynają się skłaniać ku polskiej narodowości, od której widocznie są najbardziej zależni ekonomicznie. Fakt ten dowodzi siły ekonomicznej polskiego elementu w miastach.

Z rozwojem kapitalizmu w Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich powstało tam i rozwija się liczne drobne mieszczaństwo polskie, rekrutujące się z chłopów i zbankrutowanej szlachty. W prowincjach tych, uzależnionych od Niemiec nietylko politycznie, ale i ekonomicznie, zalewanych wytworami fabryk niemieckich, nie mógł powstać i rozwijać się normalnie wielki przemysł z powodu konkurencji starszego i silniejszego przemysłu Niemiec. Kapitalizm przeto w zaborze pruskim musiał skarłowacieć *) i zamiast wielkiej burżuazji i proletarjatu fabrycznego, wytworzył tylko drobne mieszczaństwo.

Miasta nasze dawniej były przeważnie niemieckie. Z upadkiem jednak gospodarki naturalnej ludność wiejska (a więc — polska) zaczyna napływać liczniej do miast. Z początku pod wpływem przeważającej ludności niemieckiej ludność napływowa polska częściowo się germanizowała, lecz w miarę swego wzrostu liczebnego staje się coraz bardziej odporną pod względem narodowym i nakoniec staje się niebezpiecznym konkurentem ludności niemieckiej. W miastach z mieszaną ludnością polską i niemiecką Polakowi łatwiej znaleźć zajęcie, gdyż mówi dwoma językami: polskim i niemieckim (w szkole germanizatorskiej nauczył się po niemiecku), a Niemiec rzadko mówi po polsku.

*) Stąd widzimy, że rozbiór Polski wstrzymuje rozwój ekonomiczny, a co zatem idzie i kulturalny tej części Polski.

Kupiec albo przemysłowiec niemiecki, chociażby był w duszy polakożercą, nie wyrzeka się jednak polskiej klienteli, będzie się starał zjednać sobie polskich kundmanów, stąd wielkie zapotrzebowanie w handlu i przemyśle na mówiących po polsku, jak to widzimy z ogłoszeń w pruskich gazetach: „Polnisch sprechende Bewerber erhalten den Vorzug."

Trzeźwi germanizatorowie, np. znany przeciwnik komisji kolonizacyjnej, prof. Delbrück (Preussische Jahrbücher), p. Cornelius z pisma „Kritik" („Wie es in den Staedten unserer Ostmark aussieht), cytowany kilkakrotnie przez nas anonim z „Grenzbote" i inni rozumieją, jaką przewagę w handlu i przemyśle daje Polakom dwujęzyczność i żądają dla usunięcia tej przewagi obowiązkowej nauki w szkołach średnich (w polskich prowincjach Prus) języka polskiego.

Germanizatorowie ze sfer junkierskich i części biurokracji, która może się obłowić przy komisji kolonizacyjnej (administratorowie dóbr, geometrzy, budowniczowie rządowi i t. d.) są jedynymi zwolennikami tej komisji, gdyż w gruncie rzeczy więcej im idzie o ich własne interesy materjalne, niż o niemieckość.

Burżuazja niemiecka, wykazuje bezowocność dla germanizacji komisji kolonizacyjnej i żąda od rządu popierania niemieckiego przemysłu i handlu, utożsamiając swoje interesy materjalne z interesami niemieckiej narodowści.

Inteligencja niemiecka żąda germanizacji przez nasadzenie w ziemiach polskich kultury i nauki niemieckiej; z tych to sfer, ze strony głodnych docentów niemieckich i profesorów coraz częściej słyszymy żądanie otwarcia w Poznaniu niemieckiego uniwersytetu.

Uniwersytet niemiecki w Poznaniu, co prawda, wzmocni tam cokolwiek inteligencję niemiecką, ale z drugiej strony przyczyni się do wzmocnienia tam polskości, do podniesienia polskiej kultury przez wytworzenie licznych zastępów polskiej inteligencji, która obecnie, jest tak słabą i nieliczną w zaborze pruskim.

Najniebezpieczniejszą byłaby dla nas germanizacja przez popieranie niemieckiego przemysłu i handlu, ale już teraz, gdy powstało i wzrosło polskie mieszczaństwo, gdy miasta się spolonizowały, stowarzyszenia niemieckie w rodzaju „Verein für Förderung des Deutschtums in den Ostmark", przynoszą dla sprawy niemieckiej więcej szkody, niż korzyści. Hasło „wspierania swoich", rzucone przez Niemców, zostało podjęte przez Polaków i „hasło kupowania tylko u swoich" w kraju z przeważającą ludnością polską, w miastach, w których, jak widzieliśmy, już żydzi zaczynają się polonizować, może poprostu zabić przemysł i handel niemiecki, o ile on jest zależnym od miejscowych polskich konsumentów.

Popieranie przez rząd i stowarzyszenia antipolskie niemieckiego przemysłu i handlu

na szkodę polskiemu rozbudziło tylko w polskiem mieszczaństwie nienawiść do rządu i hakatystów. „Nie możemy zaprzeczyć, pisze „Berliner Tagblatt,“ iż szowinistyczna robota hakatystów stała się przyczyną nienawiści“...

Mieszczaństwo polskie, walcząc przeciw niemieckiemu mieszczaństwu, wspieranemu przez rząd, staje się coraz bardziej antiniemieckiem i może się stać rewolucyjnem, ale już nigdy ugodowem.

Lud, powołany do życia politycznego przez powszechne prawo głosowania, w miarę swego rozwoju kulturalnego coraz silniej odczuwa nie tylko ucisk ekonomiczny, ale i polityczny, germanizację. Zakazy zgromadzeń, na których się mówi po polsku, prześladowanie stowarzyszeń polskich, wadliwe szkoły i t. p. środki germanizacyjne lud coraz silniej odczuwa na swej skórze i w obronie swych interesów klasowych i narodowo klasowych staje do walki z rządem.

Z obawy przed wzrastającym wciąż ruchem ludowym szlachta w zaborze pruskim (i nie tylko pruska) staje się „ugodową“, wiernie poddańczą i wydaje zpośród siebie coraz liczniejsze zastępy Kościelskich i Radziwiłłów, tych „Prusaków, mówiących po polsku“.

Bankructwo polityczno-narodowe szlachty neutralizuje skutek ucisku narodowego i lud już się także uświadamia klasowo, gdy szlachta polska stała się pruską, mówiącą tylko po polsku.

Germanizacja przez kościół niszczy skutki „kulturkampfu“ i lud, pozbywając się opiekunów w sutanach, zaczyna już liczyć tylko na swe własne siły.

Tak więc w zaborze pruskim, jak widzimy, germanizacja jest syzyfową pracą, szczególniej gdy już się rozbudził lud, w którym tkwi siła niespożyta. Ruch ludowy w zaborze pruskim będzie czynił większe postępy, niż w rosyjskim. W zaborze pruskim, pomimo gwałcenia konstytucji bezsprzecznie więcej jest swobody politycznej, niż w Rosji carskiej; w zaborze pruskim łatwiej masowo się organizować i walka codzienna jest bardziej owocną, mniej ofiar za sobą pociąga, niż w zaborze rosyjskim, gdzie każdy krok naprzód okupiony jest więzieniem, cytadelą, Sybirem, a nawet czasem — krwią bohaterów.

Witold Rokita.

POTWÓR

przez

Walerję Marrené.

Przyjście na świat jego, potomka zamożnego domu, jego, pierworodnego syna młodej pary, zamiast uniesień radości, przyjęte zostało przekleństwem. W chwili, gdy krzykiem świat ten powitał, matka jego oddawała ostatnie tchnienie.

Nie dziw, że kiedy przyniesiono go ojcu, odepchnął z rozpaczą, spojrzeć nie chciał i nazwał potworem.

Potwór tymczasem, cały różowy, z czarnemi puklami włosów, które wiły mu się nad czółkiem, rozchylał drobne usteczka i wodził wokoło wzrokiem, pełnym bezwiednych podziwów. A kiedy odrzutka oddano mamce i on przylgnął do jej piersi, ciągnąc z niej pokarm, to fizycznego zadowolenia nie zmącił wcale kir żałoby, rozpostarty nad domem.

Odtąd chował się pod wyłączną opieką Marysi. Ona nie roztkliwiała się nad nim, nie denerwowała jego losem, nie zważała na płacz, nie rozpieszczała zbytkiem starań, ale miała zdrowego mleka poddostatkiem i obchodziła się z nim, jak z własnym. Śmierć zabrała jej dziecię, gdy jemu zabrała matkę; dopełnił się tu rodzaj kompensaty.

Gdy ojciec spotkał przypadkiem mamkę, huśtającą białą poduszkę, odwracał wzrok ze wstrętem. Nie mógł znosić tego potwora, co był powodem jego wdowieństwa; przechodził czemprędzej, ponury jak noc. Kiedy spotkała go matka matki, zalewała się łzami i odchodziła także. Nie nazywała może dziecięcia potworem, — żadna kobieta tego nie uczyni, ale i ona widoku jego znosić nie mogła.

Potwór tymczasem wzrastał zdrowo, głos jego coraz mniej przypominał miauczenie kocięcia, a czasem z usteczek wybiegały ptaszęce świegoty. Nikt się tem nie radował, nikt pochylony nad kolebką nie wyczekiwał z bijącem sercem pierwszego uśmiechu. On uśmiechał się, pomimo to, tak samo, jak gdyby był domowem bóztwem szczęśliwych rodziców; uśmiechał się do próżni, jakby uśmiechał się do rozkochanych twarzy, a wtedy potwór stawał się dziwnie podobny do rafaelowskiego aniołka.

Babka raz usłyszała żałośny płacz jego. Płacz ten przedzierał się przez drzwi zamknięte; budził echa dawno zapomnianych uczuć. Chciała wstać i odejść, ale oddźwięk jakiś, żałośniejszy od innych, przykuł ją do miejsc. Położyła palec na dzwonku; nikt nie przyszedł. A biedny potwór zanosił się prawie w opuszczonej kołysce.

Nie mogła przecież pozwolić, by zapłakał się na śmierć. Marysia źle go widać dozoruje. Pomyślała o tem poraz pierwszy. Powróciła jej nagle do pamięci wiara ludowa, która twierdzi, że płacz dziecka umarłej matce mąci pokój grobowy, i pobiegła do niego, powodowana dziwnemi uczuciami, co nagle, w jednej chwili, tłumnie powstały w jej piersi. Uspokoił się zaraz, gdy usłyszał kroki, gdy postać jakaś stanęła nad nim. Był jeszcze zbyt maleńkim, by rozróżniać osoby, lub przestraszyć się żałobnej sukni. Leżał w kołysce nawpół rozpowity, zaciskał białe, okrąglutkie piąstki, dołeczków pełne. Ciemne loczki, na które półcień dnia rzucał złote odblaski, zwijały się nad spoconem czołem, rumiana buzia wypogadzała się zwolna, a oczki okrągłe, błyszczące jak oczy ptasie, patrzyły zdziwione, ciekawe; jej się zdało, że był w nich wyrzut.

Stała zapatrzona, bo w kolorze tych oczu, w kształcie, wyrazie tej twarzyczki odnajdowała coś z tej twarzy, wiecznie w jej sercu wyrytej, z twarzy, którą widziała przed sobą we dnie i w nocy, pośród snu i jawy, w postaci naprzód takiego małego płaczącego drobiazgu, potem podrastającej dzieweczki, dorosłej panny, młodej kobiety i wreszcie bladej, umarłej. Potwór urzekł ją swym widokiem i odtąd kochała go szalenie, trawiła dnie całe u kolebki, w koronki i atłasy z taką nadzieją niegdyś przystrojonej przez córkę. W nocy się zrywała, ażeby przypatrzyć się dziecięciu, czuwać nad snem jego.

Wreszcie, gdy wyjechać musiała, nie mogła się z niem rozstać, zabrała go zięciowi i zawiozła do siebie. Teraz nie przebaczała mu tego, że je nazywał potworem. Dla niej był to anioł pociechy, zesłany z nieba na ukojenie boleści.

Potwór przyjmował zmianę w swojej doli ze wspaniałą obojętnością niewiadomości. Tu, czy tam, u ojca czy u babki, w sieroctwie, czy miłości, był zarówno zadowolony, byle Marysia podała mu pierś o zwykłej godzinie. Rozrastał się, dźwigał główką, zaciskał różowe piąstki, śmiał się i krzyczał na przemiany, bez względu na to, na czyich był rękach, jak przystało na dwumiesięczną istotę: tylko oczy jego wielkie, szafirowe, zdawały się z dniem każdym podobniejszemi do oczu umarłej. Czasem, czy to za sprawą dziedziczności, czy przeczucia, była w nich powaga jakaś dziwna.

Babka wówczas chwytała go na ręce, przyciskała do piersi, a on płakał, jeśli przyciskała zbyt mocno.

Dobrze zrobił, że nie przywiązał się do niej. Los, który widocznie uwziął się na niego uczynił go po raz drugi sierotą. Babka umarła a on powrócił do ojcowskiego domu, do tego pokoju, gdzie wraz ze swoją Marysią przebył pierwsze tygodnie życia i gdzie został nazwany potworem.

Kołyska stanęła na dawnem miejscu. Już wówczas życie jego liczyło się na miesiące; a czas niesie z sobą wszędzie konieczne ukojenie. Białe tasiemki odprute zostały od ubioru ojca, rozpacz jego pierwotna ustąpiła miejsca łagodnej melancholji. Już teraz chodził codziennie na cmentarz, dozorował robót koło pomnika, na wiosnę chciał sadzić na grobie róże i krzewy, które zmarła lubiła.

Dziecię przestało być dla niego potworem a kiedy na spojrzał, urzekło go, jak urzekło babkę, swemi szafirowemi oczyma, coraz podobniejszemi do oczu matki. Odtąd przychodził do niego często, brał nawet na ręce, całował; ale potwór żywił może do niego tajoną urazę, bał się brody i wąsów, mrużył przed niemi oczki, albo uderzał w krzyk i tulił się do mamki.

Niekiedy ojciec odchodził z widocznym żalem, niekiedy padał na kolana przy kołysce, wymawiał dziwne słowa, czynił dziwniejsze jeszcze obietnice, chciał mu dać księżyc, gwiazdkę z nieba, promyk słońca; a tymczasem pozwalał targać się za włosy, za brodę, uśmiechał się, pomimo bólu, szczęśliwy, gdy te drobne paluszki plątały się po jego twarzy, dotykały ust.

Niekiedy, siadając na konia, brał dziecię na ręce i obwoził naokoło dziedzińca.

Prawda jednak wyznać każe, iż potwór był na to wszystko nieczuły, i albo krzyczał, albo znosił tryumfalny objazd z filozoficzną obojętnością. Nie dziw; w krótkiem swem życiu widział już tyle zmian.

W końcu jednak przejażdżki konie podobały mu się; gdy widział ojcowskiego wierzchowca, zaczął do niego wyciągać rączki. Ale był to tylko powód do płaczu, bo... nastała jesień, czasem dnie były chłodne, czasem też ojciec śpieszył się bardzo. Śpieszył się nawet coraz więcej, wyjeżdżał coraz częściej; ludzie zaczęli szeptać, że powodem tego była jakaś piękna panna z sąsiedztwa.

Bywał teraz wesoły, nawet bardzo, od syna się nie odwracał, całował go niekiedy, spotkawszy; ale już przy kołysce nie klękał, nie obiecywał gwiazd i księżyca. Nie miał nawet na to czasu, bo miał bardzo wiele do czynienia, a cały dom zajęty był przez rzemieślników. Zmieniano obicia, przerabiano, malowano, a nieraz budziły dziecko stukania i hałasy.

Marysia była ciekawa, więc, ile razy mogła, biegła zobaczyć, co tam robią, szczególniej iż pomiędzy robotnikami był Józiek, pomocnik stolarza, chłopak jak iskra, który śpiewał, dokazywał, śmiał się, pokazując białe zęby pod czarnemi wąsikami, a Marysię zawsze musiał zaczepić. Patrzyła też na niego ona także, aj patrzyła! a skoro tylko doszedł ją głos jego, leciała bez pamięci z dzieckiem, czy bez dziecka.

— Maryś! zaziębisz małego, – mówiono jej nieraz, kiedy wchodziła z nim do sali, gdzie przy słocie jesiennej wszystkie okna i drzwi były pootwierane.

— Co mu tam będzie! — mruknęła tylko.

Z razu nic mu rzeczywiście nie było. Nauczył się rozpoznawać Józka lepiej, niż każdego innego, nawet śmiał się do niego, zsiniałemi nieraz usteczkami. Ale którejś nocy płakał ciągle, darmo Marysia usiłowała go utulić, nie chciał ssać, dyszał ciężko, był rozpalony, a kaszel jego przypominał pianie koguta.

Marysia przelękła się i zaraz o świcie pobiegła do znajomej baby. Przyszła, smarowała, mierzyła dziecko, odczyniała urok. Nic nie pomagało. Odważyła się wreszcie pójść do pana. Pan już siadał do powozu. Kazał zaraz zaprzęgać i jechać po doktora. Poszedł nawet do kołyski.

Dziecko leżało w swej koronkowej kołysce czerwone, prawie sine, z przymkniętemi oczyma, odzywając się chrapliwym oddechem.

Popatrzył i pojechał. Pozostać nie mógł, czekała przecież narzeczona. Zresztą, cóżby poradził. Albo to mężczyzna pozna się na dziecinnych chorobach? Marysia czas jakiś siedziała nad dzieckiem, ale posłyszała głos Józka i pobiegła, tylko na chwilkę. Chwilka była długą; gdy powróciła, w pokoju była cisza. Zbliżyła się do kołyski, — biedny potwór już nie żył. Leżał wyprężony, z otwartemi usteczkami, a zachodzące bielmem źrenice miały jeszcze wyraz podziwu, właściwy pierwszemu dzieciństwu. Jakby zapytywał, on, co doznał w krótkiem życiu tylu zmiennych kolei: po co tu przyszedł? poco odchodził?

Widzę was, przyszłe ludów pokolenia...

Widzę was, przyszłe ludów pokolenia,
Jak wiecznie w górę idziecie, zuchwałe,
Głową uderzyć chcąc w nieba powałę,
Co się nad wami zorzą rozpłomienia...

Z hymnem potężnym, co wszechbytu chwałę
Głosi — idziecie szukać prawd strumienia,
Lecz pośród tłumu, gdy mdleje z pragnienia
Nie masz Mojżesza, by uderzył w skałę...

Niedoścignione nigdy są te szczyty,
Do których loty swoje myśl wytęża,
Przez szafirowe szybując błękity,

I na nic mądrość i przebiegłość węża: —
Bóg dla nas będzie zawsze w mgłach ukryty,
Choć w nieskończoność ramiona rozpręża...

Zdzisław Dębicki.

SOCJOLOGJA.

(Dokończenie).

W ten sposób z grup etnicznych powstają socjalne grupy, *stany*. Pod wpływem podziału pracy stany te z reguły ulegają dalszym rozgałęzieniom, z których tworzą się stany nowe: stan panujący dzieli się na *wojowników i kapłanów*, podbity — na *rolników i rękodzielników*. Gdzie podział pracy jest pochodzenia przeważnie lokalnego t. j. gdzie osobliwe miejscowe waranki szczególnie sprzyjają wytworzeniu pewnej określonej produkcji albo ją uniemożliwiają, tam jako pośrednik między produkcją a konsumcją występuje *handel*, a przedstawicielem tej nowej socjalnej funkcji (która jednak nie jest identyczną *z zamianą*) staje się po największej części nowy stan, *kupiectwo*, które, zwłaszcza w początkach ewolucji, prawie zawsze rekrutuje się z cudzoziemców, tworzy zatem znowuż osobną etniczną jednostkę i przez to staje się politycznym fermentem doniosłego znaczenia. Na miejsce dawniejszych różnic społecznych o charakterze rodzinnym lub *rodowym* z postępem społecznego rozwoju pojawiają się różnice *zawodowo-stanowe*.

W złożonych agregatach wyższego rzędu, w których cała władza skupiona jest w grupie zwycięskiej, podbite obszary stają się *prowincjami*, mieszkańcy tychże ludźmi *niewolnymi* (helotami, poddanymi), a ich dawniejsi dowódzcy (naczelnicy) — *wasalami*, często nawet niewolnikami zwycięskiego wodza *(króla)*. Potęga tego ostatniego wzrasta i umacnia się w miarę tego, jak coraz częściej grozi nowemu ustrojowi społecznemu wojna zewnętrzna, im bardziej zatem identyfikują się pojęcia wojska i ludu, tem większą staje się potrzeba i skłonność przeniesienia organizacji i dyscypliny wojennej na wszystkie społeczne instytucje. Gdzie agregaty społeczne tworzą się ze związków rodowych, tam się proces koncentracji państwowej odbywa w zasadniczo innej formie. Zastępstwo wspólnych interesów spoczywa tu albo w ręku swobodnie obranego wspólnego dowódzcy z ogra-

niczoną władzą albo też *związkowego zgromadzenia*, składającego się z wodzów, starszyzny, szlachty i ludzi wolnych, z pojedynczych grup wysłanych. Zgromadzenie to usiłuje swój charakter pierwotnie przypadkowy i czasowy przeobrazić na stały, co prowadzi do *pierwotnej republiki* o charakterze bądź arystokratycznym, bądź demokratycznym. Tego rodzaju proces konsolidacji jest jednak o wiele trudniejszy od poprzedniego, wojennego, i może nastąpić tylko przy szczególnie sprzyjających lokalnych i narodowościowych warunkach. Pod wpływem agregatów typu wojennego okazują i te, drogą federacji powstałe, agregaty, dążność do koncentracji władzy w ręku nielicznego grona, usunięcia masy ludności od spraw państwa i przeobrażają się w *oligarchje* albo stają się łupem szczęśliwego jakiegoś wodza *(dyktatura, cezaryzm)* i kończą na rządach czysto osobistych.

Najwyższa społeczna *koncentracja*, przejawiająca się w despotyzmie, nosi jednak z natury rzeczy w sobie samej jądro *dezintegracji*. W królu skupia się pełnia władzy społecznej i wykonywa on też ją pierwotnie osobiście: on jest najwyższym wodzem, po największej też części arcykapłanem, najwyższym sędzią i zazwyczaj też jedynym właścicielem ziemskim. Z początku staje się własnością króla tylko zdobyta ziemia, którą on jako *lenno* rozdaje członkom panującego szczepu (stanu) i swoim ulubieńcom. Stopniowo jednak zaczyna się wszystką ziemię uważać za własność królewską, będącą w drodze lenna w posiadaniu pojedynczych rodzin. Takim jest faktyczny początek *indywidualnej okupacji ziemi;* proces ten, idąc zawsze w kierunku najmniejszego oporu, zaczyna się od absolutnego władania ziemią przez króla, wkrótce jednak, jeśli nie *de jure* to przynajmniej *de facto* spotykamy *posiadłość lenną* w ręku klasy panującej, co, naturalnie, prowadzić musi do przekształcenia czystego użytkowania w prawo rzeczowe i do wyzwolenia własności ziemskiej ze wszystkich więzów, które ją krępują. Jak na polu gospodarczem, tak samo i na politycznem odbywa się dezintegracja właśnie przez pozornie największą koncentrację władzy. Nagromadzenie wszystkich funkcji w ręku jednego władzcy *(monarchy)* czyni osobiste ich wykonywanie niemożliwem. Jest on zmuszony, zastosowując zasadę podziału pracy, pełnienie pojedynczych funkcji powierzyć rozmaitym osobom *(urzędnikom)*, otoczyć się doradcami *(ministrami)* albo powołać do rady dawniejsze zgromadzenia. W państwie despotycznem osoby te i zgromadzenia są z początku naprawdę jedynie doradcami władzy królewskiej, która sama tylko byt im daje. Później jednak usiłują one przekształcić się na organa samodzielne, w sobie samych czerpiące prawo pełnienia pewnych funkcji. Władza przechodzi wówczas do rąk urzędników i radców korony *(biurokracja)* albo też na owo zgromadzenie, które z biegiem czasu obejmuje funkcje doradcze, sądowe, z obowiązku uchwalenia podatków wyprowadza dla siebie prawo ich odmowy i coraz to widoczniej staje się centralnym punktem dla działalności wszystkich organów społecznych, nie wyłączając króla. Ostatni spada do rzędu czystego automatu z pewnemi tylko obrzędowemi funkcjami *(rząd parlamentarny)* albo nawet zupełnie znika *(ewolucyjna rzeczpospolita)*.

Podobne procesy rozwojowe są zawsze produktami albo towarzyszami głęboko sięgających przeobrażeń, zachodzących, w charakterze całego organizmu społecznego. Przyczyny ich tkwią w warunkach ekonomicznych, w zmienionej formie produkcji i zmianach w trybie życia, a wyrazem ich są walki polityczne. Kiedy się socjalne potrzeby danego ludu zmieniają, to z natury rzeczy i przystosowana do dawniejszych potrzeb organizacja okazuje się niezdatną. Jeżeli w ogóle organizm społeczny zachował jeszcze zdolność przekształcania się, socjalny punkt ciężkości i znaczenie przenosi się od jednego stanu do drugiego, podczas gdy władza i prawo są jeszcze w ręku dawniejszego rządzącego stanu. Powstaje tedy sprzeczność między faktycznym i prawnym podziałem władzy w społeczeństwie, znajdująca wyraz w politycznej walce o władzę, o rządy w państwie. Ten proces rozwojowy odbywa się zupełnie na tę samą modłę, co każdy inny w hordzie pierwotnej, tylko że na miejsce etnicznie różnych grup, prowadzących ze sobą walkę, występują tu *partje*, grupujące się pod sztandarem wspólnych programowych zasad (religijnych, narodowościowych, ekonomicznych lub politycznych). Ale walka odbywa się w ten sam sposób, co w pierwotnej hordzie.

Partje organizują się, uznają najzdolniejszego i najbardziej wpływowego swego członka za przywódcę, któremu z początku ulegają z dobrej woli, ale następnie niejednokrotnie narzuca on im swą dyktaturę, zwłaszcza po zwycięskiej kampanji. Partje — gdy pojedynczo są za słabe – zawierają sojusze, a najsilniejsza, najlepiej prowadzona zdobywa hegemonję nad resztą.

Gdy walka między partjami skończy się zwycięstwem jednej z nich, to ujarzmia ona inne, usuwa ich przywódców od władzy i swych własnych stawia u steru rządów, jako ministrów. W razie kompletnego zwycięstwa narzuca ona zwyciężonym partjom swój prawny światopogląd. To znaczy, że zwycięska część społeczeństwa czyni ogólnie obowiązującymi w państwie swe własne, wytworzone przez historję i społeczne wychowanie poglądy na władzę, rodzinę, własność oraz wszystkie inne z tem związane stosunki. I dlatego też wielkie walki partyjne i polityczne przewroty nigdy nie ogra-

niczają się na przekształceniu stosunków politycznych tylko, ale zawsze pociągają za sobą również gruntowną rewolucję w sferze stosunków własności i domowo-rodzinnych. Przewroty podobne odbywają się wedle tych samych praw, które już w socjalnej komórce, w pierwotnej hordzie działają. Różnica tkwi tylko w produktach rozwoju, których pełnia form rośnie i zmienia się wraz ze wzrostem różnokształtności życia w ogóle i w zależności od przeważającego w niem trybu. Wprawdzie niepodobna udowodnić, iż istnieje ścisły paralelizm między panującą w danem społeczeństwie formą produkcji i jego ukształtowaniem, można jednak zrobić to ogólne spostrzeżenie, że w *stadjum czysto-myśliwskiem i rybołówczem,* gdy społeczna koncentracja i organizacja jest zbyteczną, przeważnie napotyka się *prymitywnie-anarchiczne stosunki* niezróżniczkowanej jeszcze hordy, że w stadjum *koczowniczo-pasterskiem,* gdy występuje potrzeba ściślejszego współżycia i współdziałania, znajdujemy już w hordzie pewne zróżniczkowanie oraz wtórne agregaty wszelako o niezupełnej integracji, że w osiadłem i konserwatywnem stadjum *ludów rolniczych,* walczących o grunta, przeważają silnie skoncentrowane agregaty wyższego rzędu o formach despotycznych albo feudalnych i, nakoniec, że stadjum *industrjalizmu,* czującego wstręt do przymusu i przenoszącego nadeń umowę, towarzyszą formy rządu parlamentarnego i ewolucyjnej republiki.

Z niwy ludoznawczej.

Fr. Rawita Gawroński: Zoryan Dołęga Chodakowski. Jego życie i praca, Lwów. Nakład Jakubowskiego i Zadurowicza 1898 r.

W chwili, kiedy na Zachodzie zaczęto po raz pierwszy zwracać uwagę na etnografję, podania i pieśni ludowe; kiedy cieszyły się uznaniem t. z. pieśni Ossjana, a w Niemczech wydano poemat o Nibelungach — tudzież wystąpił Herder, bracia Grimmowie, a Karadzicz zajął się ludową poezją słowiańską mianowicie serbską, — rozpoczęło się życie pierwszego ludoznawcy polskiego: Zorjana Dołęgi Chodakowskiego. Długi czas postać ta była w literaturze naszej przymgloną — dopiero w najnowszych czasach, kiedy zrozumiano znaczenie prehistorji i etnografji dla kulturalnego życia narodów — przypomniano sobie także Zorjana, a p. Rawita Gawroński daje nam obecnie obszerną o jego życiu i pracach monografję.

Zoryan nazywał się właściwie Adamem Czarnockim i ur. się we wsi Podhajnej na Litwie — w pobliżu Nieświeża 4. kwietnia r. 1784. Jako jeden z kilku synów zubożałego szlachcica Jakóba Czarnockiego, utrzymującego się z służby prywatnej po dobrach magnackich, nie był młody Adam ani zbyt starannie wychowywanym, ani też kształconym. Ukończył r. 1801 tylko szkołę prawie elementarną w Słucku i musiał zaraz z powodu śmierci ojca zająć się pracą zarobkową jako praktykant adwokacki, a następnie po otrzymaniu patentu na słucką ziemską regencję (r. 1805) — jako adwokat samodzielny. W r. 1807 przyjął wcale dobrą, ale też wiele pracy wymagającą posadę pełnomocnika Józefa br. Niesiołowskiego; zamyślał wstąpić w szeregi Napoleońskie, ale zadenucjowany został r. 1808, uwięziony i oddany w sołdaty.

R. 1811 udało mu się zbiedz z wojska rosyjskiego i przejść do szeregów polskich księstwa Warszawskiego, a kiedy sen wolności pod Napoleonem skończył się pod murami Moskwy — wówczas Czarnocki, zanotowany w rotach rosyjskich, jako zmarły — przybrał pseudonim Chodakowskiego i zatrzymał go aż do śmierci (r. 1825). Okres życia Chodakowskiego od r. 1813—1825 ma wiele stron ciemnych. P. Rawita dowiódł, że zbliżył się był wówczas najpierw do Krzemieńca i Puław; cieszył się poparciem Czartoryskiego i z jego pomocą rozpoczął swe słynne podróże po ziemiach słowiańskich (polskich, ruskich i rosyjskich), podpatrując życie ludu, jego obyczaje i zwyczaje, notując skrzętnie pieśni i podania i zbierając zabytki przedhistoryczne. Owocem tych podróży, w których Chodakowski nie pominął także Galicji, była praca o Słowiańszczyznie przed chrześcjaństwem, która tak wsławiła nazwisko Chodakowskiego, że w Petersburgu zamianowano go członkiem akademji i wydano polecenie dlań z podpisem cara Aleksandra, ażeby mu wszędzie ułatwiono badania dalsze. Zaopatrzony po raz pierwszy w znaczniejsze środki materjalne, puścił się Chodakowski w podróż po Rosji, w czasie której zebrał wiele nowych materjałów ludoznawczych, ale też stracił żonę i dziecko, wreszcie uznany za niedouka, stracił poparcie i umarł w biedzie we wsi Petrowskoje. Położył w pracach swoich podwaliny do studjów nad ustrojem prasławiańskim, mitologji i ścisłej etnografji. Po śmierci zostawił liczne rękopisy i materjały, które tylko częściowo zostały później drukiem ogłoszone. Wpływ prac jego na współczesnych był jednakże znacznym, słusznie podnosi p. Rawita, że zbiory i badania Chodakowskiego stały się pierwszą skarbnicą, z której czerpali nasi wielcy romantycy, a dzisiaj — kiedy folklor polski wstąpił na szerszą drogę rozwoju, imię Chodakowskiego nabrało nowej powagi w dziejach umysłowości polskiej.

Dr. K. J. Gorzycki.

Drukiem K. Wiesnera we Lwowie.